

Przełożył Miłosz Waligórski

Życie w cztery tygodnie (fragment powieści)

Hugó podobała się opowieść Sanyiego, czasem nawet zachichotał pod nosem.

– Proszę wybaczyć, ale z pańskiej żony, świeć Panie nad jej duszą, musiała być niezła bestyjka. Zresztą one wszystkie są takie same, nieraz miałem okazję się o tym przekonać. No, może prawie wszystkie, przecież trafiają się też święte, i to nawet częściej niż wśród mężczyzn. Swoją pan jednak przechrzył. Tak, bez kłamstwa człowiek daleko w życiu nie zajdzie – skonstatował, po czym w przypiływie ufności dodał, że jemu też zdarzało się łgać. Głównie w dzieciństwie, zazwyczaj po to, żeby udobruchać ojca, którego strasznie się bał.

– Był oficerem milicji. Poza służbą cały czas pił, a kiedy pił, oczy robiły mu się czerwone i zabierał się do bicia. Tłukł mnie, krzycząc: „Już ja cię nauczę moresu, z głowy wybije ci to bumelanctwo!”.

Pod aksamitną osłoną nocy Hugó nagle wybuchł złośliwym śmiechem:

– Ha! A ja i tak zostałem nierobem. Zagrałem mu na nosie. Szkoda, że nie żyje i nie może tego zobaczyć.

Ojciec zapisał go do szkoły wojskowej w dalekim mieście na wschodzie Słowacji, gdzie syn miał wyrosnąć na pilota, spadochroniarza czy artylerzystę, słowem – na porządnego człowieka. „Jeszcze będziesz mi za to dziękował” – powtarzał mu, a Hugó rzeczywiście dziękował, lecz przede wszystkim za to, że uwalnia się od tyrana. I chociaż od samego początku serdecznie nienawidził szkoły, to ojca nienawidził jeszcze bardziej. Teraz jednak – jak stwierdził – już nie kłamie. Odwykł. Poszło mu z tym łatwiej niż z rzucaniem palenia. „Bo po co kłamać, skoro nic nie ma sensu”. Ta mądrość nie zrobiła jednak na Sanyim większego wrażenia. Przeciwnie, obudziła w nim ducha podejrzliwości. „Szczere słowa” – powiedziałby ktoś i moglibyśmy dać sobie rękę uciąć, że kłamie, bo szczerzy są tylko wariaci. I Klementina, którą właśnie z tego powodu wielu posądzało o szaleństwo. Hugó zresztą też.

Utrzymywał, że ją znał, czego oczywiście nie da się wykluczyć.

– Często chodziła do kościoła, nie tylko w niedziele. Przez cały rok nosiła czarny płaszcz do kostek, a na mieście gadali o niej, że ma lekkiego hyzia, ale nie trzeba jej się bać, nikogo nie skrzywdzi, najwyżej porwie niegrzeczne dziecko.

Sanyi bardzo oburzył się na te dawne złośliwości, jakby nie było już wszystko jedno, co przed laty myśleli sobie o Klementinie jacyś tam zarozumiali drobnomieszczanie,

których większość i tak od dawna spędza zasłużony urlop w krainie wiecznej nocy na miejscowym cmentarzu, podczas gdy jej w niebie od rana do wieczora przygrywiają na harfie aniołowie. Hugó szybko wyczuł, że przeholował.

– Ale to porządna kobieta była, ja wiem. W naszej rodzinie też przydałaby się taka Klementina.

Czy jednak wyszło jej to na dobre, że nie umiała kłamać? Sanyi rozumował w ten sposób: jeśli nie narzekała, to znaczy, że raczej tak, a jeśli tak, to nikt nie ma prawa się do tego wtrącać, a już na pewno nie tacy, których życie opiera się na podstępie, lizusostwie i hipokryzji, a jedyny chwalebny uczynek, do jakiego są zdolni, to umrzeć, choć ostatecznie żadna w tym ich zasługa. Miał jednocześnie świadomość, że jego logika trochę kuleje. Przecież w życiu często bywa, że szczerść nie popłaca czy wręcz zagraża życiu. Nieumiejętność rozpoznania takich sytuacji świadczy o umyślowym opóźnieniu i braku instynktu samozachowawczego, czyli w skrócie: o głupocie, o której w przypadku Klementiny nie mogło być mowy. Ona nie była głupia! Twierdząc tak, skrzywdzilibyśmy ją. Szkoły pokończyła ze świetnymi wynikami, miała smykałkę do języków, tylko że... No właśnie! Tylko że nie radziła sobie w życiu. W życiu w sensie całości. Nigdy nie stała się w pełni dorosła, czego z jednej strony zazdrościli jej Sanyi i pewnie też jego matka z ciotką, a co z drugiej strony niezmiernie ich irytowało. „Trudno, taki los świętej” – powtarzali z dozą lekceważenia, lecz także ze świadomością, że chociaż nikt nie chciałby znaleźć się w skórze Klementiny na stałe, to jednak dobrze byłoby w ciężkich chwilach umieć znosić przeciwności losu z tą charakterystyczną dla niej pogodą ducha i naiwną wręcz wyrozumiałością, która tylko znającym ją powierzchownie osobom postronnym mogła wydawać się flegmą. Obiektywnie rzecz biorąc, w świecie Klementiny nic nie było na swoim miejscu, a mimo to panował tam porządek.

Nie można było też odmówić jej poczucia humoru, wisielczego humoru. Ciotka Vilma i matka Sanyiego nigdy go nie rozumiały albo rozumiały źle. W rodzinie krążyła o Klementinie legenda, którą później, gdy minęło już niebezpieczeństwo, często przywoływano w domu lub w gronie znajomych. Z biegiem lat ta historia ulegała upiększaniu i mitologizacji, ale jej sedno zawsze pozostawało niezmiennie, niezależnie, czy opowiadano ją piąty, czy dziesiąty raz. Jesienią 1947 roku „nad rodziną ciotki Vilmy zawisł miecz Damoklesa”. Ten miecz należał do opowieści niczym tarcza do bohatera *Iliady*. Rodzice Sanyiego, wspominając tamte wydarzenia, nigdy go nie pominęli. Tak więc pewnego wrześniowego przedpołudnia rodzinę ciotki Vilmy odwiedzili niespodziewani goście, w zasadzie dobrzy znajomi, prawie przyjaciele. W domu były tylko dwie siostry. Wujek Zoli, mąż Vilmy, w tym czasie przekładał papiery w urzędzie podatkowym. Dopiero później stało się jasne jak słońce, które, nawiasem mówiąc, tamtej suchej jesieni prażyło nie-miłosierdzie, dlaczego wizyta została złożona o tak wczesnej porze. Ciotka Vilma uważała za nieprzyzwoite, że ktoś bez uprzedzenia, i to na dodatek przed południem, przeszkadza jej i Klementinie w pracach domowych. Nie zmieniła zdania nawet, kiedy okazało się, że intruzami są Gruberowie, których w innym terminie przecież chętnie by u siebie widziała.

W tym czasie – mniej więcej tam, gdzie teraz znajduje się Manierka – Gruberowie prowadzili cukiernię. Według zgodnej opinii rodziców Sanyiego Lajos Gruber bardziej nadawał się jednak na rzeźnika, ponieważ cukiernicy to zazwyczaj ludzie „zwiewni” i pełni gracji, na których wystarczy spojrzeć, aby człowiekowi napłynęła do ust ślinka o smaku tortu dobosza, tymczasem gesty barczystego Grubera były subtelne jak topór, a ruchy tak niezgrabne, że nawet Klementina nie nazwałaby ich eleganckimi. Przy nim Emma, jego żona, wydawała się jeszcze bardziej rachityczna, niż była w rzeczywistości, chociaż i tak przypominała kij od mioty z dwoma łepkami szpilek zamiast oczu. A jednak – jak często bywa w takich przypadkach – to ona dużo mówiła, podczas gdy Lajos nieśmiało milczał. Ciotka Vilma ze złymi przeczuciami wpuściła ich na podwórko, później z kuchni wyszła Klementina. Od razu dało się wyczuć, że goście – według słów ciotki Vilmy – coś chytzą. Przyszli w ważnej, niecierpiącej zwłoki sprawie, co nie wróżyło niczego dobrego, bo w tamtych czasach spraw ważnych i niecierpiących zwłoki należało się obawiać. Ciotka Vilma wiedziała o tym doskonale.

Zgodnie z niepisаныmi przepisami etykiety Gruber zaczął pierwszy. Kręcił, owijał w bawętnę, płątał się w zawitych zdaniach, co chwilę powtarzał „prawda”, było po nim widać, że sto razy wolałby piec po godzinach torty niż ze sztuczną uprzejmością poruszać drażliwe tematy, i to jeszcze w taki upał. Nie, Lajos Gruber zdecydowanie nie był człowiekiem języka, Lajos Gruber był przede wszystkim człowiekiem kremówek. Ciotka Vilma wspominała potem, że jego arii cały czas wtórował turkot sierpówek. „To była sytuacja, z której nawet po latach pamięta się każdy najdrobniejszy szczegół”. Stali tak na podwórku, aż w końcu z kija zdjęta, szczapowata Emma straciła cierpliwość.

– Moja droga, przyszedliśmy obejrzeć dom – powiedziała może trochę szorstko, ale bez wrogości w głosie.

Ciotka Vilma nie rozumiała, co Gruberowie mają do oglądania w jej domu.

– Nasz dom?

– Tak, wasz dom. Wiesz... – odezwał się Lajos, ośmielony zdecydowaną wypowiedzią żony.

– Co, co niby mam wiedzieć?

Gruber znów się zaciął, więc Emma postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce.

– Przydzielili nam go.

– Co wam przydzielili?

– No, wasz dom.

– Ale kto?

– Miasto.

Ciotka Vilma osłupiała ze zdumienia. Nigdy by nie pomyślała, że Emma i Lajos, ci porządni, przyzwoici ludzie, tak naprawdę są wysłannikami diabła.

– Jakim prawem?

– Jesteście na liście – odparła sucho Emma.

Teraz była to już całkiem inna rozmowa, wszystko stało się jasne. Od tygodni mówiono na mieście, że powstaje lista tych, którzy w najbliższym czasie będą musieli wyjechać

z kraju i zostaną przesiedleni na Węgry. Wujek Zoli wiedział jednak, i to ze sprawdzonych źródeł, że ich na tej liście nie ma. Fakt, spisu jeszcze nie zamknięto, nadal można było kogoś wymazać, a kogoś dopisać.

Ciotka Vilma zawsze, niezależnie od okoliczności, zachowywała zimną krew, ale tym razem wpadła w panikę. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie interwencja Klementiny, która zresztą nie zdradzała żadnych oznak gniewu ani zdenerwowania. Tak naprawdę dopiero wtedy zwrócili na nią uwagę.

„Klementina stanęła na wysokości zadania”. „Klementina wzniosła się na wyżyny”. To, co się później wydarzyło, ciotka Vilma przedstawiała barwnie i ze szczegółami, dzięki czemu Sanyi, którego wówczas nie było jeszcze na świecie, opisywane sceny ujrzał w całej jaskrawości, jakby sam w nich uczestniczył. Sytuacja wymagała zdecydowanych kroków, więc Klementina bez wahania zaprosiła Gruberów do środka. Na dobry początek pokazała im kuchnię. Od niej zaczęła, „bo przecież tutaj wkrótce będzie pracownia Lajosa”. „Piecyk nadaje się do wymiany, chwila nieuwagi, a wszystko zaraz się przypala. I w ogóle ta przeklęta kuchnia mogłaby być trochę większa”. Przez salon tylko przeszli. Gruberowie dobrze go znali jako milczącego świadka wielu przyjemnych rozmów i niezapomnianych wieczorów przy kartach. „Jak dobrze, że ściany nie potrafią mówić! Przez te zjadliwe dowcipy, któreśmy sobie opowiadali, a zwłaszcza przez te o polityce i o Słowakach, dzisiaj moglibyśmy mieć poważne kłopoty”. Do sypialni zdążyli ledwie zajrzeć, ciotka Vilma poślą im z progu piorunujące spojrzenie, toteż woleli nie ryzykować. W pokoju Klementiny natomiast zabawili dłużej, a właściwie: zabawiły, Klementina i Emma. Vilma wycofała się do kuchni, a Lajos, jako dobrze wychowany dżentelmen, który wie, że nie wypada naruszać prywatności panieńskiego buduaru, został przed wejściem. Emma szybko straciła ochotę do rozmowy, czort wie, co w nią wstąpiło. Klementina jednak jakby nie zwracała na to uwagi. „Podobno spodziewacie się dziecka. Potrzebujecie więcej przestrzeni, to rozumiecie. Szczególnie w tak podtych czasach. Chodźmy obejrzyć jeszcze poddasze. Jest strasznie zagracone, ale uprzątniemy je. Tylko uważaj, droga Emmo, schody są bardzo strome”. Ale Emma nie była już ciekawa ani poddasza, ani piwnicy. „Coś musiało się w niej załamać, bo nagle wydała się całkiem zrezygnowana, biedaczka”.

Wrócili do kuchni, gdzie Gruberowa uroniła łzę. Tak przynajmniej zapamiętała to Klementina, czemu jednak stanowczo zaprzeczała ciotka Vilma. „Węże nie płaczą”. Lajos zaś – jak zgodnie podawały obie siostry – ciężko wzdychał, i to nie tylko pod naporem ciepła, które biło od pieca, ogrzewając jego purpurową twarz. Chwilę później drżącym głosem odezwała się Emma:

– Wiecie, nam naprawdę jest przykro...

– Przecież to nie wasza wina – Klementina zamknęła jej usta. – Skoro tak zdecydowano w ratuszu, nie ma rady. Trzeba się podporządkować.

Emma pokiwała głową.

– Umówiliśmy się z Lajosem, że damy wam uczciwe odstępnę.

Wtedy rozległo się płasnięcie, które raz na zawsze przypieczętowało koniec pewnej przyjaźni. Dłoń Vilmy uderzyła o zapadniętą twarz Emmy. Dzięki temu policzkowi ciotka

zyskała w rodzinie status legendy, idolki na miarę gwiazd Egeru¹, chociaż w końcu i tak podzieliła los wszystkich bohaterów, którzy prędkiej czy później tracą uznanie współczesnych, ponieważ uświadamiają im skalę ich podłości czy choćby tylko nijakość. Być bohaterem jest znacznie trudniej niż tchórzem. Tchórzeństwo przychodzi nam bowiem z naturalną łatwością, wydaje się bardziej ludzkie, a więc też łatwiejsze do wybaczenia. Poza tym tchórz ma wielu współników, bohater zaś żadnego, a na dodatek, przy całej swojej wielkości, cechuje się pychą i skłonnością do mimowolnego ponizania innych. Tak przynajmniej uważał Sanyi.

Pewnego razu jego ojciec postawił tezę, że Vilma trzasnęła Emmę w odwecie za zmarnowane okazje spoliczkowania innych, choćby tego sowieckiego oficera, który zrobił z Klementyny swoją nałożnicę. Dobrze jednak, że stało się inaczej, przecież sowiecki oficer rozstrzelałby ją za to na miejscu i co później poczęlibyśmy z taką dziurawą jak sito ciotkę Vilmq? „Tak czy siak – filozofował dalej ojciec – w tamtej nieszczęsnej chwili oberwała od niej Historia, którą Emma jedynie uosabiała, zresztą chyba całkiem nieświadomie”. Historia nie jest bowiem przezroczystą abstrakcją, lecz zawsze występuje pod postacią konkretnych ludzi, w ten sposób wdzierając się do naszego życia, by je zniszczyć lub wynieść na piedestał. Biedna Emma, była tylko narzędziem. Narzędziem w rękach szatana, dodajmy, bo to on zawiaduje Historią od początku jej istnienia. I trzeba przyznać, że robi to z niebywałą wprawą. Potrafi złożyć ikrę w każdym, no, może z wyjątkiem świętych pokroju Klementyny.

Po wyjściu Gruberów ciotka Vilma skarciła siostrę: „Ciebie naprawdę trzeba by zamknąć w wariatkowie! Rzucasz perły przed wieprze”. Klementina nigdy nie gniewała się za tę reprymendę. „Wicie, kochani – wyznała kiedyś – Vilma na swój sposób miała rację. Nie znaczy to jednak, że ja jej nie miałam. W jakimś sensie miała ją każda z nas, ale przy oślepiającym blasku racji Vilmy moja racja wypadła blado”. Wujek Zoli, matka i ojciec Sanyiego zaraz pośpieszyli z zapewnieniami, że oczywiście tak było. Ktoś z nich palnął nawet piękne głupstwo, że „ostatecznie wszyscy mają rację”, zarówno bohaterowie, jak i ludzie prości. Tak właśnie powiedział: „ludzie prości”, chociaż na myśli miał słowo „tchórze” albo „głupcy”. Sanyi natomiast, mimo cieleńczego wieku, już wtedy się domyślał, że Klementina nie jest ani głupia, ani tchórzliwa. Z czasem to młodzieńcze przekonanie rozwinął w przekonanie, że to on zna i rozumie Klementinę najlepiej. Jego zdaniem czyny świętych należy mierzyć inną miarą niż czyny reszty ludzkości. Święci tworzą bowiem szczególną, rządzącą się swoimi prawami grupę, w której określić „odważny”, „strachliwy”, „mądry” czy „głupi” można używać jedynie z zastrzeżeniami albo i wcale. Poza tym uważał, że „rzucając perły przed wieprze”, Klementina wykazała się nie lada poczuciem humoru, ale ponieważ święci śmieją się z innych rzeczy niż zwykli śmiertelnicy, jej dowcip trafił w próżnię.

¹ Mowa o legendarnych obrońcach twierdzy Eger, którą w 1552 roku oblegały wojska osmańskie – przypis tłumacza.

Fakt, Klementina była nieprzewidywalna i nikt nie umiał jej rozgryźć. W latach pięćdziesiątych na przykład na każde Boże Narodzenie dawała małemu Sanyiemu jakiś prezent. Święta spędzali wprawdzie osobno, ale po Nowym Roku, zazwyczaj jeszcze przed Trzema Królami, rodzina zjeżdżała się do domu ciotki Wilmy na „poprawiny”. Pewnego razu przy takiej okazji Sanyi dostał konia na biegunach. Skończył już osiem lat i dotąd nie miał z końmi nic wspólnego, dlatego matka z ojcem bardzo się zdziwili. Tymczasem ona zachęcała siostrzeńca promiennym spojrzeniem, żeby się nie bał i dosiadł swojego rumaka, przecież go nie kopnie ani nie ugryzie, to przyjazny, „domowy” konik. Sanyi wskoczył mu więc na grzbiet, bo lubił Klementinę i nie chciał sprawić jej przykrości. Nie wybaczyłby sobie, gdyby z jego winy miała zły humor. Wydawała się naprawdę szczęśliwa. Później, kiedy już siedzieli za stołem, biło od niej wielkie zadowolenie, jakby w końcu spełnił się jej najskrytszy sen. Nagle spoważniała, chwyciła Sanyiego za ramię i, popatrzwszy mu głęboko w oczy, powiedziała:

- Wiesz, synku, Węgrzy to naród jeźdźców.
- Kiedyś nim byli – sprostował ojciec Sanyiego, lecz Klementina nie dała za wygraną.
- Byli i nadal są. W głębi duszy się nie zmieniliśmy.

Nawet teraz, po latach, kiedy w nim wszyscy uczestnicy tej sceny przenieśli się na tamten świat, Sanyi nie potrafił sobie wytłumaczyć, o co chodziło Klementinie z tymi jeźdźcami, zwłaszcza że nigdy nie zaprzętała sobie głowy charakterologią narodową czy kwestią swojej węgierskości, traktując ją raczej jako coś neutralnego, ani klątwę, ani wyróżnienie. Inaczej było z jego ojcem, ciotką Wilmą oraz Danim, którzy swoją węgierskość najchętniej nosiliby jak odznakę przypiętą do kłapy płaszcza i zupełnie nie liczyli się z konsekwencjami życia w kraju nieprzychylnym Węgrom. Hasło „naród jeźdźców” z pewnością zawierało jakiś tajny kod, do którego klucz miała niestety tylko Klementina. Jednoznacznie nie dało się określić nawet jej intencji. Czy to dobrze, że po tysiącu lat nadal jesteśmy narodem jeźdźców? Mamy być z tego dumni czy powinniśmy się wstydzić? A może Klementina znów tylko błysnęła swoim specyficznym, niepojętym dla zwykłego człowieka poczuciem humoru?

Konia na wszelki wypadek wzięli ze sobą do domu. Sanyi cisnął go w kąt pokoju, ale ponieważ nie mógł na niego patrzeć, już po kilku dniach poprosił rodziców, żeby wynieśli go na strych. „Nie będzie Klementina robić ze mnie balona”. Kiedy jednak od czasu do czasu przyjeżdżała do nich w odwiedziny – co na szczęście zdarzało się rzadko, bo ciotka prawie nie ruszała się z domu – znosili zabawkę do salonu i stawiali ją pod telewizorem na widocznym, choć niewyeksponowanym miejscu, gdzie ledwie się mieściła. Klementina jednak przestała interesować się jej losem, zamilkła też na temat narodu jeźdźców, przy czym musiało imie ją techać, że Sanyi, mimo że ugania się już za spódniczkami, nadal wysoko ceni sobie prezent sprzed lat. Koń ostatecznie wylądował w spiżarni pod półką z powidłami i innymi przetworami. Umieścili go tam na wszelki wypadek, gdyby nagle okazał się potrzebny. Sanyiemu szybko przeszła na niego złość, zaimprovizował nawet o nim żartobliwy wierszyk, któremu dał tytuł *Kobyła na straży spiżarni*. Chociaż unikał sentymentalizmu, nie odważył się wyrzucić zabawki również wtedy,

kiedy po latach wyprowadzał się do Bratysławy. Zresztą tam też nieco już obszarpana trafiła w końcu do spizarni. Sanyi nie chciał bowiem, żeby nowe otoczenie było dla niej jeszcze bardziej obce, niż było w rzeczywistości.

W tym miejscu odkrył ją mały Dani zaraz po tym, jak nauczył się chodzić. Na jej widok zaczął wydawać okrzyki takiej radości, jakiej biedna szkapina nie doznała nigdy w swojej długiej karierze. Musiało więc nadejść kolejne pokolenie, żeby znalazła sobie pana, syna narodu jeźdźców, który będzie dosiadał jej ze szczęściem w sercu i poczuciem dumy. Jakby wtedy, dawno temu, Klementina, kierując się proroczym instynktem, przewidziała przyszłość. Ten z pozoru banalny epizod wzbudził w Sanyim podejrzenie, że między jego synem a ciotką istnieje tajemnicza łączność, która niczym obwód elektryczny spaja ich wewnętrzne światy i tworzy więź silniejszą niż relacja rodzica i dziecka. To rozpoznanie wywołało w nim mieszane uczucia, bo na przykład ani Klementina, ani Dani nie potrafili kłamać, czasem wprawdzie próbowali, ale nigdy im to dobrze nie wychodziło. Sanyi zatem jakby już wtedy przeczuwał, że jego syn będzie miał w życiu masę kłopotów, a większość z nich ściągnie na siebie sam.

Nota tłumacza

Opublikowana w numerze proza stanowi część powieści *Życie w cztery tygodnie*, traktującej o zaniku węgierskiej klasy średniej na Słowacji. Ponieważ mowa jest o swoistym odliczaniu (*countdown*), rozdziały w niej zostały ponumerowane od dziewiętnastego do zerowego, którego treść sprowadza się do pustej kartki.

W „Tekstualiach” prezentujemy rozdział nominalnie piętnasty, a piąty w porządku linearnym. Tekst można czytać jako odrębne opowiadanie, czytelnikowi należy się jednak kilka słów o występujących w nim postaciach. Głównym bohaterem jest Sanyi Varga, około sześćdziesięcioletni mężczyzna, który na tytułowe cztery tygodnie przyjeżdża z Bratysławy do rodzinnego miasteczka na południu Słowacji (nie wiemy, czy są to Levice – Léva, Dunajská Streda – Dunaszerdahely, Rožňava – Rozsnyó czy Nové Zámky – Érsekújvár) po to, by pod nieobecność kuzynki, córki ciotki Vilmy, pilnować domu. W tym czasie ucina sobie pogawędki z przedstawicielem miejscowej żulii, niejakim Hugó, wspomina tajemniczą, uosabiającą typ starej panny ciotkę Klementinę, myśli o swoim synu Danim, a także snuje rozważania na tematy ogólne, takie jak rola i miejsce człowieka w zawierusze dziejów.

Rdzeniem tego rozdziału jest właśnie opowieść o tym, jak Historia wkracza w prozę życia mieszkańców Europy Środkowej. W 1945 roku w Czechosłowacji zostały wydane rozporządzenia, znane pod nazwą dekretów Beneša, które między innymi zmusiły do wyjazdu na Węgry ponad 100 000 słowackich Węgrów. Groźba przymusowej emigracji ciąży również nad bohaterami *Życia w cztery tygodnie*. W jednej z reminiscencji Sanyi Varga wraca do wydarzenia sprzed lat, kiedy dom należący do jego ciotek mieli przejąć „prawdziwi” Słowacy, państwo Gruberowie (sic!). Szczegółowo opisując ten epizod, Grendel daje wyraz przekonaniu, że literatura (więc i fikcja) jest jedynym sposobem transmisji prawdy. Dzięki niej Historia zyskuje ludzką twarz, a spod suchej skóry faktów wychodzi soczysty mięsz indywidulnego życia.